

Ludwik Wołodkiewicz

50 lat Miodowa - Leszno : wspomnienia [dokończenie]

Palestra 2/7-8(9), 20-33

1958

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

LUDWIK WOŁODKIEWICZ

adwokat

50 lat Miodowa – Leszno

Wspomnienia

(dokończenie)

Starsi adwokaci pamiętają dobrze sylwetkę Wenantego Starosty. Wysoki, stałe zapędzony, z nieodstępnym rowerem, na którym jeździł na sprawy. Zawsze był otoczony gromadą klientów. Załatwiał po parę terminów dziennie, a skąd brał energię i siły na taką orkę, wprost trudno zrozumieć.

Niezmiernie charakterystyczną sylwetkę stanowił adwokat Stanisław Roliński. Stale zabiegany i zapędzony, nie miał niekiedy czasu zjeść śniadania. Miał jasne, pogodne i pełne ufności oczy dziecka, co przy siwiejącej czuprynie robiło uderzające wrażenie. Adwokat Roliński miewał czasami po 7—9 terminów w różnych i terenowo rozrzuconych sądach. My, adwokaci, doskonale rozumiemy, że przy takiej praktyce nie zawsze można tyle terminów załatwić. Na tym tle często powstawały konflikty między adwokatami a klientami. Jak pan Stanisław te sprawy załatwiał, nie mogę sobie tego wyobrazić. Między sprawami na sali, na korytarzu, w dorożce, tramwaju, a nawet na ulicy zawsze trzymał książkę w ręku i czytał, czasami przy świetle latarni ulicznej. Czytał wszystko, co mu wpadało pod rękę, ale najchętniej i niemal stale klasyków łacińskich.

Dla charakterystyki ówczesnych stosunków muszę wyjaśnić, że przed I wojną światową kol. Roliński, po odbyciu aplikacji sądowej, został podsekretarzem, a potem sekretarzem w jednym z wydziałów Sądu Okręgowego (jego koledzy Rosjanie dawno już byli sędziami), bo nie

chciał robić kariery sądowej gdzieś w głębi Rosji, jedynie dostępnej wtedy dla Polaka.

Dla zwiększenia zarobków miał kol. Roliński parę godzin tygodniowo zajętych w szkołach lekcjami języka łacińskiego. Po wyjściu Rosjan przeszedł do adwokatury. Nie pracował, ale wręcz harował, i to tak, że aż podziw brał, jak serce jego mogło wytrzymać taki nadludzki wprost wysiłek. Materialnie nie stał chyba zbyt dobrze, bo przy takiej szalonej orce pobierał niskie honoraria. Inni koledzy umieli te zagadnienia lepiej urządzić pod względem komercyjnym i przy dużo mniejszej pracy osiągnęli znacznie lepsze dla siebie rezultaty.

Również charakterystyczną sylwetkę stanowił Edward Botner z siwą, gęstą czupryną, mocnym głosem i bardzo przyspieszoną wymową, która kiedy wpadał w ferwor, robiła wrażenie terkoczącego karabinu maszynowego.

Czystej krwi kratkowym obrońcą, zarazem „omnibusem” (sprawy karne i cywilne), był mec. Zygmunt Nasberg. Wiech prawdopodobnie podpatrywał Nasberga, tworząc swoje typy „procesowiczów”. Nasberg przenosił ulicę wprost na salę sądową, z dobrotliwą ironią traktował swoich „wiechowskich” klientów, wzbudzając częste wybuchy śmiechu na sali, a nawet w kompletach sądowych. Jeżeli na sesji siedział przyjaciel jego, sędzia Kozieł-Poklewski (Wydział Karny Odwoławczy), to zawsze powstawały niezwykle śmieszne sytuacje. Obaj mieli zdrowy dowcip i poczucie humoru.

Trzeba przyznać, że Nasberg nie odznaczał się urodą. Krępy, niski, twarz obrzękła, małe oczy, wydatne wargi, głos w podniesieniu czasami krzykliwy. Nie wyglądał na adwokata, raczej robił wrażenie jegomościa od straganu. Mimo to wszyscy bardzo go lubili, a ci, z kim był bliżej, mówili o nim, że ma złote serce. Ja też stwierdzam, że był dobrym kolegą i zacnym człowiekiem. W kancelariach sądowych huczało nieraz od puszcanych przez niego dowcipów.

Typowo kratkowym adwokatem o czysto chłopskiej klienteli był mec. Aleksander John. Terenem jego działania był przeważnie Zjazd Sędziów Pokoju na Śliskiej i Sąd Okręgowy. Wysoki, w zatłuszczonym fraku, z wielką teką pod pachą, uważał wprost za zasadę, że sprawa musi się „uleżeć”. Stąd częste skreślenia spraw z wokandy. Podobno zdarzały się wypadki, że mec. John przez pomyłkę składał czasami nowe dowody, nic wspólnego nie mające z daną sprawą. U kolegów i w sądzie mec. John miał opinię bardzo uczciwego człowieka. Znane było powiedzenie jednego z prezesów, że John ma zapewne kiepską sprawę, skoro przemawiając miał spuszczone oczy.

Dojeżdżał do sądu gminnego bryczką lub dorożką. Jeżeli wybierał się tam ze swym przeciwnikiem procesowym, to przez oszczędność jechali razem. Kiedy jednak dojeżdżali już do mety, John wysiadał i dochodził do sądu pieszo, żeby tylko nie ujawnić wobec klientów, iż — być może — łączy go coś z przeciwnikiem. Dlatego też w sądzie w obecności klientów nigdy nie witał się z adwokatami. Śmieszne dziwactwo, ale usprawiedliwione podejrzliwością klientów.

W okresie niewoli rosyjskiej mec. John odgrywał znaczną rolę w naszym społeczeństwie, organizując zespoły śpiewacze i gimnastyczne, co stanowiło prawie jedyną formę szerszych kontaktów w społeczeństwie pod zaborem rosyjskim. Pod płaszczykiem tych legalnych organizacji prowadziło się działalność społeczną i polityczną, na co zaborca nie pozwalał.

Znaczna większość adwokatów-cywilistów świetnie znała się na hipotece i potrafiła w powodzi ostrzeżeń i zastrzeżeń, przy starannym wglądzie w księgi, znaleźć potrzebny wpis. Za specjalnych jednak znawców hipoteki uchodzili w szerokiej opinii adwokat Wacław Rembertowicz i Marceli Kotkowski.

Zacny pan Wacław, zawsze uczynny, przemawiający w sądzie bez efekciarstwa i rzeczowo, wydłubywał każdy szczegół, niczego nie pomijając. Klientelę miał bardzo zamożną. Z największą starannością prowadził sprawy spadkowe. Dla kolegów miał złote serce. Zawsze pełen gotowości przyjścia kolegom z pomocą w razie potrzeby, stąd też nieskończona ilość darmowych dla nich porad. Nie każdy doceniał, że wykorzystywanie wiadomości pana Wacława to oskubywanie go z kapitału zawodowego. Pan Wacław, inaczej niż wielu innych kolegów, uważał za niemożliwe dla siebie, aby przy konsultacjach z kolegami brać za to honorarium. A kolegów takich miał sporo, bo nie każdemu chciało się pracować, skoro o wyjaśnienie mógł tak łatwo zwrócić się do pana Wacława.

Adwokat Marceli Kotkowski, jako długoletni pracownik hipoteki, miał bardzo szerokie wiadomości praktyczne w tej dziedzinie. Był zresztą dobrym cywilistą. Rumiany na twarzy, siwy, o przysadkowatej krępej budowie, przemawiał z wielką wena, czasami się powtarzał. Łatwo się zaperzał i wtedy obsypywał przeciwnika gradem słów.

Wspominając o mec. Wacławie Rembertowiczu, muszę też wspomnieć o przyjacielu jego, adwokacie Bronisławie Szpotkańskim. Łączyły mnie z nim zażyłe stosunki. Stanowił dobrą klasę adwokacką, chociaż nie był rozreklamowany i za popularnością nigdy się nie uganiał. Miał swego konika w postaci inspiracji hindusko-jogowskich, hugono-

tyzmu i teorii rasowych. Nie było takiej rozmowy, która by się nie skończyła na tych oderwanych tematach, poruszanych z całym przejęciem. Byli tacy koledzy, którzy unikali rozmów ze Szpotańskim na te tematy. Ja bardzo lubiłem jego towarzystwo i gawędy w kawiarni. Z przyjemnością odrywałem się od zagadnień zawodowych i gawęd o kolegach, sprowadzających się przeważnie do tego, ile kto zarabia, jakie robi figielki, w kim się kocha, co robi itd. Nigdy nie interesowała mnie, że tak powiem, podszewkowa strona egzystencji moich znajomych i kolegów, rozmowy zaś ze Szpotańskim gwarantowały w stu procentach wyłączenie tych wszystkich zagadnień. Czasami w mętny trochę sposób, zawsze jednak bardzo ciekawie przeprowadzał on swoje wywody. Umarł w zaniedbaniu, dotknięty bezwładem na kilka lat przed śmiercią.

Prawdziwą przyjemnością dla słuchaczy i dla sądu były występy adwokata Zygmunta Sokołowskiego, zarazem radcy prawnego Banku Handlowego. Przed wojną Bank ten skupiał największe asy finansowe, stąd też źródło poważnej klienteli adw. Sokołowskiego. Jego wystąpienia — to bardzo poważne przemówienia pod względem treści prawnej, płynnie i potoczyscie podane, bez zbędnej gadaniny, przy tym ujmujące w sposób niezwykle lapidarny poruszane kwestie. Nic tu się nie działo dla przypodobańia klientowi: wszystko było *ad rem* i porządnie podane. Do dziś uważam te wystąpienia za szczyt krasomówstwa sądowego w sprawach cywilnych i jeżeli można je porównać z jakimikolwiek innymi, to chyba z przemówieniami adwokata Bolesława Bielawskiego, który po rewolucji rosyjskiej osiadł w Warszawie i tu jako adwokat zyskał sobie szeroki rozgłos.

Najlepiej poznawało się człowieka wtedy, gdy się stawało przeciwko niemu jako przeciwnikowi procesowemu w sprawie. Wtedy najłatwiej było „rozgryźć” kolegę i wyrobić sobie zdanie o nim. To powinno wyjaśnić, dlaczego impresje moje co do niektórych sylwetek tu przedstawionych nie są dość szczegółowe.

Przy okazji chciałbym omówić, jak załatwialiśmy między sobą kwestię stawiennictwa naszego w sądzie w tej samej sprawie. Otóż uważaliśmy tu za podstawową zasadę dla siebie, żeby w przeddzień rozprawy uzgodnić z przeciwnikiem godzinę przybycia do sądu i ewentualnie poinformować się nawzajem o rozkładzie zajęć w konkretnym dniu. Żadnych wypadków narażania kolegi na takie niespodzianki, jak pozostawienie przez przeciwnika (na ckładce akt sądowych) kartki z zaznaczeniem, że stawi się on dopiero za 2—3 godziny, bez uprzedniego przy tym w tej kwestii porozumienia się ze swym kolegą, jak to zdarza się, niestety obecnie — nie było i nie mogło być. Również samo zapisanie

się w przeddzień na wokandzie sądowej nie wystarczało. Robiło się wszystko, żeby porozumieć się z przeciwnikiem i dać mu znać telefonicznie, albo nawet przez posłańca. Oczywiście taki sposób bycia ułatwiał nam bardzo pracę. Już po pierwszej wojnie światowej, wskutek gromadnego napływu nowych ludzi do adwokatury, sprawy uzgadniania terminów stawiennictwa z kolegą uległy pewnemu rozluźnieniu, ale mimo wszystko — jako zasada — obowiązywały nadal.

Józef Fryling, znakomity znawca wyroków Senatu, a potem Sądu Najwyższego, cieszył się szacunkiem i uznaniem Sądu. Praktykę miał rozległą. Był zawsze poważnym przeciwnikiem. W zaniedbanym stroju, nie dość porządny, bezżębny — nie pociągał swoją sylwetką. Mocno przy tym sepleniał, a czasami uderzał w dyszkant. Dało to kpiarzowi Świeszewskiemu asumpt do ochrzczenia go mianem „Aida” (w ten sposób wszyscy odróżnialiśmy Józefa od brata jego, Jakuba Frylinga). Ponieważ sprawy sądowe stanowiły jego jedyne zainteresowanie, potrafił czasami dzwonić do kolegi po godzinie 12 w nocy, aby się porozumieć w jakiejś kwestii. Nie rozumiał tego, że ludzie mogą mieć życie prywatne lub inne zainteresowania. Opowiadał mi kol. Antoni Kornecki, że kiedyś „miał nieostrożność” zapytać Frylinga w sądzie o jakąś kwestię. Mec. Fryling udzielił mu odpowiedzi, która jednak, jak się okazało, była dość powierzchowna. Otóż Fryling nic lepszego nie miał wtedy do roboty, jak po załatwieniu spraw bieżących w sądzie przepracować gruntownie wydaną przez siebie opinię. W wyniku tego opracowania, rozlega się o godz. 3,30 w nocy dzwonek telefonu. Zerwany z głębokiego snu, pan szambelan papieski słyszy chrypliwy głos mec. Frylinga: „Kolego, ja się omyliłem — tę kwestię inaczej załatwia wyrok Senatu taki to a taki”. Stanowi to miarę skrupulatności i sumienności mec. Frylinga. Miał jedną słabość: wielki szacunek dla pieniędzy. Padł też ofiarą tego kultu, bo nabywając dom przy ulicy Chmielnej, kupił go na imię starszej swej siostry (panny) w celu uniknięcia kumulacji dochodu. Tymczasem ta wcześniej umarła i biedny Fryling od własnego domu musiał zapłacić podatek spadkowy. Bardzo go to bolało i gnębiło przez dłuższy czas.

Wspomniany szambelan papieski, kol. Antoni Kornecki, był przemyślnym człowiekiem: do wypitki i do wybitki, jak to się mówi. Jako siostrzeniec kardynała Kakowskiego, pan Antoni otrzymał godność szambelana. Niejednokrotnie z humorem opowiadał o różnych śmiesznych sytuacjach, jakie go spotykały w związku z tym, i uskarżał się na wysokie koszty zakupu munduru szambelańskiego (wyszywanego złotem, z kluczymi itd.). Mimo to godność szambelańska trochę mu schle-

biała. Miał praktykę opartą przeważnie na sprawach hipotecznych, sporne zaś procesy przekazywał swemu przyjacielowi, adwokatowi Szupcwi.

Jan Szup był dobrym adwokatem. Czasami w celu wzmocnienia pozycji powtarzał się w przemówieniach. Miał jakiś defekt w mowie i co parę chwil pochrząkiwał. Stąd czasami stawanie w sprawach przeciwko Szupowi bywało męczące, bo przemówienia jego łącznie z pochrząkiwaniem trwały dość długo, stały jednak na poziomie, i z Szupem jako przeciwnikiem trzeba się było liczyć.

Do tego samego pokolenia co Kornecki, Szup i i. należał adwokat Teofil Bojanowicz. Staranny adwokat, o dosyć rozległej praktyce, bardzo lubiany przez kolegów i starszych, i młodszych. Złotymi zgłoszkami zapisał swoje imię w dziejach adwokatury, kiedy po spowodowaniu procesu brzeskiego zorganizował zebranie protestacyjne w Kole Prawników i na tym zebraniu gorąco zabierał głos. Trochę to zaszkodziło panu Teosiowi, bo ucięła się praktyka upadłościowa i kuratela. Na tym samym zebraniu ówczesny Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego Leon Sipiński, długoletni prezes Koła, powiedział pod adresem pisarza Sieroszewskiego, że byłoby lepiej, żeby Sieroszewski raczej złamał pióro, niż miał podpisać list gloryfikujący władze za wyczyn brzeski. Drżał mu trochę wtedy głos ze względu na śmiałość takiego powiedzenia przez Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego, z drugiej jednak strony, jako długoletni prezes Koła, ryzykowałby utratę popularności wśród kolegów, gdyby tego nie powiedział.

Z ciekawszych epizodów i przeżyć Koła Prawników (nb. wkrótce po demonstracji brzeskiej Koło zostało rozwiązane) utkwił mi w pamięci zwłaszcza grudzień 1915 czy też styczeń 1916 roku. Grupa ówczesnych tak zwanych aktywistów, przede wszystkim z kol. Carem, Tomaszewskim i Rzepeckim na czele, zorganizowała śniadanie na cześć brygadiera Piłsudskiego. Niemcy nie pozwolili wtedy I brygadzie na wejście do Warszawy, Piłsudski przyjechał więc do niej nieoficjalnie. Zależało mu bardzo na kontaktach ze społeczeństwem, bo większość tego społeczeństwa opanowana przez ideologię narodowo-demokratyczną uważała czyn legionowy za prowokację i za wyciąganie kasztanów z ognia dla wroga Nr 1 — Niemców.

Na bardzo skromne śniadanie przybył Piłsudski w towarzystwie młodego wtedy, przystojnego i przyjemnego chłopaka w ulańskiej czamarce. Był to Wieniawa-Długoszewski. Pomimo szeregu zastrzeżeń co do politycznej strony działalności legionów Piłsudskiego, każdy z wielką przyjemnością oglądał polski mundur. Zaczęły się przemówienia i bezpośrednio rozmowy z brygadierem. Trzeba przyznać, że osobisty urok Piłsud-

skiego roztopił lody, tak że nawet najzawziętsi endecy gorliwie się do niego przysuwali. Na śniadaniu tym wystąpił z przemówieniem adwokat R a f a ł K e m p n e r. Było cno tak charakterystyczne, że zapamiętałem je doskonale. Kempner mówił mniej więcej w ten sposób: „Mam narowy wiecznego studenta. Będąc w Krakowie parę lat temu, zetknąłem się tam z młodzieżą uniwersytecką, a panowie ci o pewnej godzinie, z rozognicznymi twarzami postanawiają porzucić moje towarzystwo. Na pytanie, dokąd idą, informują mnie, że na wykłady strategii i taktyki, co mnie bardzo zainteresowało. Tak się złożyło, że poszedłem z nimi, a oni zaprowadzili mnie z sobą gdzieś na poddasze, w którym kilkudziesięciu zebranych młodych chłopaków chciwie słuchało słów mówcy, jegomościa cd nich starszego. Z początku z przerażeniem słuchałem wywodów mówcy. Doszukiwałem się tu prowokacji lub ukrytych jakichś sprężyn, ale potem dałem się unieść ogólnemu nastrojowi. Obecnie stwierdzam z przyjemnością, że nie pan, tylko ja nie miałem wtedy racji, bo to pan byłeś, brygadierze, tym wykładowcą taktyki i strategii, i pańska wiara w wojnę spowodowała, że otacza pana nie mała grupka entuzjastów, ale już całe zorganizowane wojsko (...)” Po czym nastąpiło normalne toastowe zakończenie.

W tym czasie pan Rafał był radcą prawnym gminy żydowskiej, co przy słabej praktyce dawało mu jednak podstawę utrzymania. Po utworzeniu Rady Regencyjnej Kempner jako królewsko-polski sędzia okręgowy pojechał do Łodzi, a potem przeszedł tam do adwokatury, dojeżdżając dość często do Warszawy. Łączyły mnie z nim bardzo bliskie i miłe stosunki. Był to bardzo kulturalny człowiek o głębokiej inteligencji, umyśle przenikliwym i lotnym dowcipie. Zewnętrznie reprezentował typ schludnego, łysego i bezwąsego pana o ostrym wzroku.

Jadąc z nim kiedyś z Łodzi pociągiem (rok 1926 lub 1927), nawiązaliśmy rozmowę o oszczędnościach. Zapytany przeze mnie, że zapewne ma coś niecoś na czarną godzinę, charakterystycznym dla siebie trochę skrzeczącym głosem wypowiedział taką sentencję: „Ot, kolego, te wszystkie papiery procentowe, to nic nie warte. Najlepszym papierem lokacyjnym są dziś wyrzki sądów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej skazujące za przynależność do komunizmu”.

W czasie drugiej okupacji zjawił się u mnie pan Rafał ze zwykłym swoim trochę sarkastycznym uśmiechem i z punktu oświadczył: „Nazywam się Krzemiński, mieszkam w Otwocku”. Serdecznie się ucieszyłem z jego wizyty. Zostawił wtedy u mnie świadectwa hipoteczne i plany parceledowanych przez niego pod Łodzią terenów, oświadczając ze zwykłym mu humorem: „No, kochany kolego, chociaż ja jestem Krzemiński,

ale zawsze więcej wierzę w Waszą nieposzlakowaną aryjskość, co zabezpiecza te papierki, a mogą się one przydać mojej rodzinie". Wkrótce zmarł śmiercią naturalną, pochowany jako „katolik” na Powązkach. Rodzina odebrała zostawione przezeń „papierki”.

Nawiązując do kontaktów osobistych, muszę wspomnieć o adwokacie Piotrze Witoldzie Zalewskim. Wysoki, bardzo starannie i bez przesady ubrany pan, o ujmującym sposobie bycia i szerokim geście. Miał znakomitą klientelę, opartą przede wszystkim na sprawach ruchliwych i zamożnych kupców leśnych. W sprawach stawał rzadko, ale kiedy stawał, był zawsze dobrze przygotowany. Zetknąłem się z nim bliżej przy zawieraniu jakiejś umowy, w której każdy z nas reprezentował inną stronę.

W 1915 roku przed wejściem Niemców do Warszawy, ja, nie oglądając się na Koło Prawników, które rozprawdzało szarżę w Straży Obywatelskiej (było to na 10 dni przed wejściem Niemców, gdyż dopiero w tym momencie Rosjanie pozwolili na zorganizowanie Straży Obywatelskiej), zgłosiłem się wprost na punkt werbunkowy właściwy ze względu na miejsce mego zamieszkania. Zapisano tam moją osobę i przydzielono do 10 komisariatu w charakterze posterunkowego. W samym dniu wejścia Niemców do Warszawy pełniłem już służbę na ulicy przy szpitalu Czerwonego Krzyża w plutonie inż. Gorazdowskiego. Stawiałem się codziennie do pracy na 4-godzinny dyżur, a raz jako pan posterunkowy gonilem na Nowym Świecie rozbieganego konia, co zresztą słabo mi się udawało. Dopiero ktoś z dorożkarzy narzucił na łeb koniowi kapotę i zdenerwowane konisko momentalnie się uspokoiło.

Po 10 dniach takiej pracy w charakterze posterunkowego spotykam na korytarzu kol. Henryka Janowskiego, podkomisarza prawno-administracyjnego naszego komisariatu, a właściwie kierownika komisariatu. Łapie mnie Henio zdziwiony i pyta, dokąd idę. „Na dyżur” — pada krótka odpowiedź. „Zgłupiałeś? Ja tu tonę i nie mogę sobie dać rady. Zostań przy protokole”. Zostałem więc przy protokole, prowadzonym dotychczas nieudolnie przez któregoś z druhów sokołów. W niespełną godzinę pan podkomisarz przyniósł mi trójkolorową opaskę przodownika, mianując mnie na to stanowisko własną swoją władzą. A po 5 dniach urzędowania zostałem przez Komitet Obywatelski mianowany podkomisarzem prawno-administracyjnym. Komisarzem moim był dyrektor lombardu na placu Wareckim (nie pamiętam jego nazwiska). Oczywiście przy takim układzie prowadziliśmy we dwojkę komisariat.

Pewnego dnia zjawia się u mnie około 10 rano mec. Zalewski. Melduje się do dyspozycji i prosi o przydzielenie go do prowadzenia protokołu.

przy areszcie. Z prawdziwą uciechą posadziłem go do prowadzenia tych czynności, bo ludzi nam brakowało. Punktualnie o 12 podchodzi do mnie „posterunkowy” Zalewski, staje „na baczość” i melduje, że jest obecny i że czas iść na śniadanie. Nie bardzo dysponowałem wtedy odpowiednimi środkami, toteż starałem się od tej miłej propozycji uchylić. Nie było jednak sposobu na to, tak że ostatecznie poszliśmy do „Lija” (na wprost kościoła Ś-go Krzyża). Przez 2 czy 3 tygodnie urzędowania pana Pictra wypady na śniadania stały się nieomal protokołem dyplomatycznym, przy czym moje usiłowania rewanżowe spalały wciąż na panewce.

Po dwóch czy trzech miesiącach Niemcy coraz to staranniejszy wtykali łapę w nasze formowane pośpiesznie instytucje. Niebawem Straż została przemieniona na Milicję Obywatelską z komendantem Polakiem, księciem Franciszkiem Radziwiłłem na czele, oraz z dodanym mu Niemcem jako mężem zaufania. Praca w tych warunkach w Milicji musiałaby się stać pracą zawodową, ja jednak żadnych skłonności w tym kierunku nie miałem. Wielu kolegów, jak np. Henryk Janowski (w roku 1917 — sędzia Sądu Okręgowego), Ignacy Krzymuski (nadinspektor policji, potem adwokat), Tytus Makowski (komendant w Lublinie, potem adwokat), Koral (nadinspektor i ostatnio, zdaje się, zatrudniony w milicji), Stanisław Jerzmanowski i szereg innych pozostali w Milicji aż do 1917 roku, a nawet i dłużej. Ja wycofałem się z niej i usiłowałem, wyjeżdżając sporadycznie na prowincję, coś niecoś zarobić na utrzymanie z praktyki adwokackiej.

We wrześniu 1917 roku, mianowany przez Radę Regencyjną, objąłem stanowisko sędziego pokoju na prowincji i przez trzy lata nie pracowałem w Warszawie. Nowa organizacja adwokatury w niepodległej Polsce stała mnie jako adwokata w Łomży.

Nie byłbym w porządku, gdybym wspominając Łomżę, pominął godną osobę mec. Bolesława Hanusowskiego. Mało się o nim mówiło w stołecznej adwokaturnie, był to jednak naprawdę człowiek na miarę mecenasa Szczepańskiego. Niezmordowany w pracy, pedantyczny co do każdego przecinka i kropki, znakomity znawca kodeksu, trochę dziwak, z jedyną pasją do psów i koni. Był kawalerem, a zawód swój traktował jak zakon.

Poczuwszy znakomitych cywilistów, nie mogę przejść obojętnie nad tak głębokim znawcą prawa, jakim był adwokat Ludwik Domański. Mówić o jego znajomości prawa nie trzeba; wystarczy starannie i uważnie przeczytać jego prace naukowe. Tryska z nich głęboka znajomość rzeczy, logika i ścisłość rozumowania. Zetknąłem się z mec. Ludwikiem Domańskim w domu mecenasstwa Biskupskich, z którymi był spo-

winowacny. Była to jednak z początku kapeluszowa tylko znajomość, nie dająca żadnego tytułu do wspomnień. W okresie I okupacji Koło Prawników, organizując sądownictwo polskie, podjęło rozsądną inicjatywę wprowadzenia adwokatów Polaków w polską terminologię prawniczą (uczyliśmy się przecież po rosyjsku i dotychczas po rosyjsku wprowadzaliśmy sprawy w sądach). W tym celu zorganizowano cykl wykładów, których przedmiotem był także m.i. Kodeks Napoleona. Przerabiał go z nami jako wykładowca właśnie mecenas Domański. Jak żywo pamiętam do dziś głębokie przemyślenie każdego zagadnienia przez naszego znakomitego wykładowcę oraz piękną formę, w jakiej te zagadnienia były podawane i logicznie powiązane. Żadne wykłady uniwersyteckie (a byłem na dobrym uniwersytecie w Petersburgu) nie dały mi nigdy tyle zadowolenia. Nic więc dziwnego, że mec. Domański był moralnym patronem mego pokolenia, a jak się miało jakąś trudną kwestię, to szło się wprost do Domańskiego. Trzeba było widzieć uciechę mecenasa, kiedy trafił na interlockutera, który wiedział, o co pyta i dlaczego tak, a nie inaczej. Szorstko i niechętnie natomiast „splawiał” zadających pytania bez sensu i szukających łatwizny. Jeżeli jednak zagadnienie było rzeczywiście ciekawe i mogło budzić wątpliwości, pan Ludwik wpadał w ożywienie i wyraźnie się cieszył, kiedy partner jego miał też jakieś własne zdanie i pojmował jego koncepcje. Po ogłoszeniu i wprowadzeniu w życie Kodeksu zobowiązań (mec. Domański miał także i w tym przedmiocie cykl znakomitych wykładów dla kolegów), najciekawsze było dla mecenasa Domańskiego omawianie kontrowersji, jakie wynikały pomiędzy nim a prof. Longchamps de Berier.

Udzielając się ludziom towarzysko, klientom w sprawach, kolegom na konferencjach i ciężko pracując na utrzymanie, umiał ten nieoceniony człowiek wydajnie pracować naukowo i pozostawić po sobie pomnikową pracę „Instytucje zobowiązań”. Jak to się stało, kiedy ten człowiek mógł tyle pracować — stanowi to dla mnie wielką zagadkę. Ale trudno zaprzeczać faktom. Jest więc bezspornym faktem, że zostały po nim trwałe ślady w postaci napisanych prac naukowych, a każdy młody polski prawnik, wczytując się w te prace, znajdzie w nich znakomitą podstawę do myślenia prawniczego — niezależnie od tego, czy Kodeks zobowiązań będzie jeszcze długo obowiązywał, czy też zastąpi go inna jakaś kodyfikacja.

Aczkolwiek odbiega to trochę od wspomnień cywilisty, którym zawsze byłem, nie mogę tu jednak pominąć, jako adwokat warszawski, dziekana Jana Nowodworskiego. Była to jedna z ciekawszych sylwetek w naszym życiu adwokackim. Zaczny, szlachetny człowiek,

dobry kolega, na wskroś humanista. Będąc wybrany do Sejmu, ugrupował się w stronnictwie Ludowo-Narodowym. Stałem na zupełnie innym biegunie zainteresowań politycznych, ale szanowałem każdego, o ile tylko nie był politykiem. Takim właśnie człowiekiem szczerych przekonań był mec. Nowodworski. Zdawałoby się, że jego platforma polityczna kazałaby mu przeciwstawiać się ogromnemu liczbowemu napływowi do adwokatury kolegów pochodzenia żydowskiego. Tymczasem Nowodworski, ówczesny dziekan, będąc interpelowany, dlaczego za czasów jego właśnie dziekanatu lista adwokacka zatracą dotychczasowy charakter, z największym naciskiem podkreślał, że jemu jako koledze i człowiekowi nie wolno powoływać się żadnymi względami ubocznymi, każdy zaś obywatel polski o prawniczym wykształceniu i przebyłym stażu musi mieć możność realizowania wszystkich swoich praw, niezależnie zgoła od pochodzenia, a nawet środowiska, z którego pochodzi. Zdaje się, że w takiej postawie tkwi miara szlachetności i prawości tego niezapomnianego człowieka. Jako dziekan, przy pełnej dyskrekcji i niewtrącaniu się w cudze sprawy, wiedział o kolegach niemal wszystko. Skąd i w jaki sposób — nie mogłem dociec. Raz, spotkawszy się z nim w Sądzie Apelacyjnym, informowałem go (bez podania oczywiście nazwiska) o nagannym i trochę niesummiennym zachowaniu się jednego z kolegów, a Nowodworski *à livre ouvert* najspokojniej wymienia mi nazwisko tego kolegi. Bez przesady stwierdzić muszę, że był on najbardziej powołany do reprezentowania adwokatury. A jeśli dodać do tego jeszcze ujmujący sposób bycia, walory towarzyskie i szeroki gest, to mamy w przybliżeniu całą sylwetkę tego wartościowego i przyzwoitego człowieka.

Wracając do wspomnień osobistych, nie mogę pominąć J a n a H e y m a n a. Janek — to postać tryskająca życiem, pełna swady, humoru, jowialna, bez trywialności. Z każdym niemal na „ty”. Wiedział o każdym wszystko: i dobre, i złe. Palił prawdę prosto w oczy, a nigdy nikogo poza oczami nie obmawiał. Śmiało mogę powiedzieć, że była to encyklopedia znajomości ludzi. Wachlarz tych znajomości był bardzo różnorodny: znał sędziów, prokuratorów, sędziów, adwokatów, kupców i przemysłowców. W poradach prawniczych bardzo głęboki, ujmował zagadnienia życiowo i bardzo trafnie. Dzięki temu wyrobił sobie klientelę spośród przemysłowców i kupców. Stąd jego najściślejsze związanie z Wydziałem Handlowym Sądu Okręgowego i udział w każdej niemal upadłości, mimo że sam bywał syndykiem (kuratorem) bardzo rzadko.

W okresie okupacji Janek nie poszedł do getta i korzystał z opieki byłego sędziego handlowego (reprezentant zawodu kupieckiego) Stanisława Breitkopfa. Dłuższy czas spotykał się z kolegami. Niestety, padł

ofiara jakiegoś donosu i został, jako nie-Aryjczyk, bestialsko zamordowany przez Niemców. Bolesna to była dla nas wiadomość.

Antoni Wolski, bardzo sumienny i dobry cywilista, wprowadzał do spraw dużo sentymentu i bezinteresowności. Zawsze pełen pośpiechu i podenerwowany, dopiero w chwilach skupienia przejawiał swoje wielkie walory. Był poetą i miał dużą tekę nie drukowanych przeważnie wierszy. Kiedy przeżywał chwile oderwania się od trosk codziennych, z wielkim uczuciem recytował swoje utwory, nie ustępujące często wierszom Asnyka. Te chwile, kiedy Antos uciekał wewnątrz od szarych codziennych trosk i przeobrażał się w natchnionego poetę, są dla mnie niezapomniane.

Cezary Okółow — Podhorski miał niezwykle *charme* osobisty. Nie było nikogo, kto nie miałby dla niego miłego uśmiechu i życzliwości.

Ignacy Krzymuski, tragicznie zmarły w czasie powstania, był aplikantem adwokackim przed I wojną, potem nadinspektorem policji, a na parę lat przed II wojną wrócił do adwokatury. Krzymuski sumiennie i starannie prowadził sprawy o bardzo różnorodnym zakresie, za największy jednak jego walor uważam wielką życzliwość dla ludzi: nie spotkałem się nigdy z wypadkiem, żeby Ignas kiedykolwiek źle mówił o kimkolwiek, natomiast z jak największą uciechą podkreślał każdą dodatnią cechę charakteru osoby mu znanej. Był szczerym entuzjastą ludzi.

Władysław Szatensztejn, będąc z pochodzenia Żydem, był wielkim patriotą polskim. Wszystkie akcje narodowe miały w nim żarliwego działacza i entuzjastę. Jednocześnie mocno podkreślał, że jest ortodoksem żydowskim i w tym charakterze był długoletnim wiceprezesem towarzystwa „Ostatnia Posługa”. Na pogrzebach osób zasłużonych występował w cylindrze i długim czarnym tużurku, a ostatnio w żakiecie. Miły kompan i dobry kolega. Zmarł przed wybuchem wojny.

Poruszając stosunki upadłościowe, muszę wspomnieć godną i budzącą wielkie moje uznanie osobę obrońcy sądowego Edwarda Zaleskiego. Zналиśmy się od dawna, ale stosunki nasze stały się bliższe w okresie I okupacji. Po 1920 roku był on jako wiceminister pełnomocnikiem rządu do spraw repatriacji. Niezwykła sumiennosc w pracy, staranność niemal pedantyczna cechowały go we wszystkich sprawach. Jeśli dodamy do tego miły sposób bycia i godną sylwetkę wysokiego starszego pana — będziemy mieli pełny obraz pana Edwarda. Zaznaczyć trzeba, że Edward Zaleski był przez dwa lata na prawie i należał do wyższej klasy obrońców sądowych.

Do tego samego typu obrońców, którzy w niczym nie ustępowali, a często stali wyżej od wielu adwokatów, należał obrońca sądowy Romuald Stankiewicz, też niedokończony prawnik, z zamiłowania historyk, znawca hipoteki i spraw gruntowych. Również do tej wyższej klasy obrońców należał Seweryn Gryzima — Grylicz. Opisując stosunki w byłym Zjeździe sądów pokoju na Pańskiej, wspomniałem o obrońcach, którzy poziomem swego wykształcenia znacznie odbiegali od przeciętnego poziomu adwokata.

Ponieważ nie każdy czytelnik zna organizację adwokatury sprzed I wojny oraz zmiany, które po niej nastąpiły, parę słów o tym.

Byli więc przede wszystkim adwokaci przysięgli, to jest prawnicy, którzy mieli pięcioletni okres wpisu na listę jako pomocnicy lub 5-letni staż sądowy. Jeżeli godność adwokata otrzymywał ktoś tylko formalnie zapisany, to oczywiście jako adwokat reprezentował dość surowy materiał. Pomocnicy adwokatów mieli prawo wykupienia świadectwa i stawiali się „pomocnikami adwokatów na stanowisku obrońcy sądowego”, przy czym pomocników adwokatów wyznania mojżeszowego nie wpisywano do adwokatury przez kilkanaście nawet lat.

W ten sposób tak zwani obrońcy sądowi stanowili niejednolity element pod względem wiedzy fachowej. Byli obrońcy, którzy po pewnym okresie pracy w sądownictwie, bez ukończenia nawet szkoły średniej, zdawali przed sądem egzamin i otrzymywali prawo wykupienia świadectwa obrońcy sądowego. Zestawiając ten typ obrońcy z takimi obrońcami, jak Edward Zaleski, Romuald Stankiewicz i inni, zrozumiemy, że niektórzy obrońcy stali czasami na poziomie wyższym od wielu przeciętnych adwokatów.

Po I wojnie światowej przestano mianować obrońców sądowych i instytucja ta była skazana na powolne wymarcie. Uważam za zupełnie słuszne, że Polska Ludowa włączyła wszystkich niedobitków spośród obrońców do adwokatury, gdyż w ten sposób pod względem zawodowym podniesiono ich pozycję. Utrzymywanie nadal tego przeżytku było zbędne.

Po tej małej dygresji wracam znowu do wspomnień.

Do starszego pokolenia adwokatów należał Stanisław Krzemieniewski, zmarły wkrótce po powstaniu warszawskim. Zmarł mając przeszło 90 lat. Niedużego wzrostu, o przenikliwych żywych oczach; poruszał się sprężysto i nie robił wrażenia człowieka tak zaawansowanego w latach. Młodsze pokolenie prawnicze nie zna go, bo unikał stawiania w sądzie. Służył raczej doświadczoną radą młodszym.

Ruchliwą sylwetkę stanowił Tadeusz Tomaszewski. Słusznego wzrostu, z wąsem pokaźnym, nosił się ciemno, przy czym zawsze miał czarny krawat wiązany w dużą kokardę. Była to pewna maniera w stylu postępowej młodzieży pierwszych lat bieżącego stulecia. Studenci, poeci używali takich krawatów, nosili duże czarne kapelusze i peleryny. Pan Tadeusz, kiedy go poznałem, peleryny nie nosił, ale poza tym stylem swoich młodzieńczych lat pozostał wierny. Był on inteligentem-socjalistą i należał do PPS. Postawa taka na owe czasy uchodziła za bardzo radykalną, dlatego też nie wszyscy koledzy życzliwie go traktowali. W cbronach zwięzły i ścisły, miał bardzo miły i prosty sposób bycia. Cieszył się dużą popularnością wśród młodszych kolegów. Słyszałem, że na emigracji był prezesem Najwyższej Izby Kontroli, a nawet premierem. Jako adwokat był radcą prawnym Banku Gospodarstwa Krajowego i miał w tej dziedzinie rozległą praktykę.

Przedstawiony fragmentarycznie obraz stosunków i sylwetki ludzi stanowią charakterystykę minionego okresu. Siłą rzeczy nie mogłem mówić o wszystkich, którzy wspomnień są warci, bo tak dużo wartościowych osób przesunęło się przede mną w tym okresie, że można by na ten temat pisać tomy. Niezależnie od tego, nie do wszystkich postaci przywarła taka czy inna anegdotyczna treść bądź też ja osobiście z nią się nie stykałem, a w moich wspomnieniach starałem się być jak najbardziej bezpośredni.